

Uśmiecham się ironicznie

Rozmowa z Krystyną Jandą

— Jak publiczność odebrała „Przesłuchanie” w Cannes?

— Nadspodziewanie. Brawa, owacje. Nie wytrzymałimy tego psychicznie, uciekliśmy z sali z panem Bugajskim. To niebo, palmy dookoła, te brylanty, te suknie, uśmiechy, w żaden sposób nie składały się z tym naszym filmem. Jedni płakali i ściskali, zatrzymując nas na ulicy, z drugiej strony inni np. pewien wybitny producent powiedział, że przeżyli z żoną „uroczy wieczór”. Opuściłam ręce. Rano — recenzje francuskie zdumiewające: po co taki film, dlaczego taki ostry, nieprzyjemny, dlaczego tak brzydki w nim wyglądam i tak angażuję się do końca paznokci. Zdumiona i wściekła powiedziałam przed odlotem w wywiadach, że bardzo przepraszam, że czuję się jakbym popełniła gafę w bardzo miłym towarzystwie, ale ja już za chwilę odjeżdżam i nie będą musieli się mną zajmować. Powiedziałam, że czuję się tak, jakbym zepsuła smak szampana tego wieczoru. Dopiero po wyjeździe dowiedziałam się, że opinia jest zupełnie inna, szczególnie krytyki amerykańskiej, film ma jedne z najlepszych notowań, a ja po prostu trafiłam nie na te gazety.

— Nie sądzi pani, że polityczne filmy się przeżyły?

— Tak, oczywiście, że tak. Zagrałam kiedyś we francuskim filmie „Zawrót głowy” kobietę, która dostała czerwone szpilki, jak to żartobliwie streszczam. Wszystkim było przyjemnie, bo to był piękny film. Ale ta rola nie miała dla mnie żadnego znaczenia. Tkwiła we mnie silna potrzeba szukania ważnego tematu, powiedzenia czegoś do końca. „Przesłuchanie” jest jakby „wielkim policzkiem” dla wszystkich, nienawiścią wyrzuconą ze mnie prawie bez kontroli. Ludzie rzeczywiście są zmęczeni, nie chcą oglądać takich filmów. Nareszcie wchodzimy w inne czasy, w inne problemy — w inne kino. I ja szukam innych scenariuszy.

— Jakich?

— Pytano mnie o to też we Francji. Odpowiedziałam, że po pierwsze, nie ma co się martwić o scenariusze, bo wyszła grupa młodych reżyserów, którzy umieją je pisać. Z drugiej jednak strony wszyscy kręcą się trochę w kółko i nie bardzo wiedzą, czego nagrawdę chce dzisiaj publiczność. Ja wiem jedno: nie chce ona oglądać nas brzydkich, biednych i smutnych, w brzydkim, biednym i smutnym kraju. Chcą nas oglądać wspaniałych, pięknych i bogatych.

— Czy polskie scenariusze, z którymi pani się spotyka odpowiadają na to zapotrzebowanie?

— Nie. Na pewno takie powstają, nie są one chyba jednak jakościowo najlepsze. Myślę, że musimy nauczyć się tworzyć takie scenariusze. Ale nawet młodzi reżyserzy nie potrafią myśleć w ten sposób, każdy z nich jeszcze chce się rozliczać z przeszłością.

— Powołała się pani kiedyś na powiedzenie Zbyszka Cybulskiego, że aktor musi umieć wachać swój czas. Jak pani to robi?



Brawa, owacje i nagroda dla najlepszej aktorki na festiwalu w Cannes.

Fot. CAF

— Staram się zawsze zrozumieć, dlaczego dookoła jest tak a nie inaczej, w jakiej wszyscy znajdujemy się sytuacji. Staram się zrozumieć innych ludzi. Cały czas gram w teatrze, mam więc bardzo bezpośredni kontakt z publicznością, widzę w jakim jest nastroju. Jeśli mi tylko czas pozwala, wyjeżdżam na spotkania z widzami, lubię szczególnie te z młodzieżą. I to ja im zadaję pytania, a nie tylko oni mnie. Te spotkania bardzo dużo mi dają, są potrzebne.

— Gra pani tak różne postacie teatralne i filmowe: od Agnieszki i Toni do Medeli, Modrzejewskiej. Z czego wynika tak wielka amplituda ról? Czego szuka w nich pani — aktorka, której tak wielki sukces przyniosły role polityczne?

— Na pewno mogłabym do końca życia grać Agnieszkę w różnych wersjach. Ale ja się nudzę. Zmieniam się. Wyraстам z ról. Niektóre zagrałabym inaczej, niektórych w ogóle bym nie przyjęła. Bardzo bym chciała, aby pojawiła się fascynująca rola, żebym poczuła się tak, jak 15 lat temu, kiedy kręciliśmy „Człowieka z marmuru”. Ale już

chyba nie potrafię tak myśleć.

— Czym jest dziś dla pani zawód aktora? Jakiej wartości w nim liczą się najbardziej?

— Kiedyś to była tylko przyjemność, mierzenie się z własnymi możliwościami i kolejne zaskakiwanie siebie, środowiska. Teraz już dużo wiem, szczególnie w filmie, inne emocje mną kierują. Jeżeli kiedyś wynikały one z owego ścigania się z samym sobą, to dzisiaj wynikają one z poczucia odpowiedzialności. Czuję się więzkiem swojego zawodu. Uważam, że wszystko co mówię ma jakieś znaczenie. Mam pełną świadomość tego, że jestem aktorką, której obraz został ukształtowany przez Andrzeja Wajdę. Nie chciałabym tego zniszczyć. A i widzowie nie chcą, czują to. Odwaga artystyczna we wszystkich tego pojęcia znaczeniach, szacunek dla widza to inne jeszcze wartości, które w tym zawodzie cenię.

— Jaki wpływ wywiera ten zawód na pani życie, w jakim stopniu ekranowa i sceniczna filka przenika do niego?

— To, że zagrałam takie a nie inne role, rzutuje oczywiście na całe moje życie. Niektórych odmawiałam chociażby dlatego, że nie wolno było mi ich przyjąć. W pewnym okresie np. nie zagrałam ról lekkich — w pajetach, piórach tylko dlatego, że były takie a

nie inne czasy. I również dlatego, że Andrzej Wajda uważał, że powinnam pozostać w świadomości widza tym, kim jestem. Nie oddzielałam swojego życia scenicznego od tego realnego. Biorę odpowiedzialność za to, co powiedziałam na scenie czy ekranie, w jakiś sposób identyfikuję się z granymi postaciami. Grubą kreską staram się oddzielać jednak zewnętrzne strony mojego zawodowego życia od prywatnego.

— Dlaczego podjęła się pani roli Modrzejewskiej w telewizyjnym serialu? Co panią zafascynowało w tej XIX-wiecznej aktorce, której życie, zawodowe emploty wydają się tak odległe od pani życia i aktorstwa. Modrzejewska swoje życie prywatne złożyła w ofierze sztuce.

— Nie wiem, czy jest druga aktorka w Polsce, która by odmówiła zagrania tej roli. Modrzejewska była wielką, wspaniałą aktorką i wyjątkowym człowiekiem. Scenariusz dawał ogromne możliwości pokazania przez 11 godzin na ekranie jej życia, jej uczuć, jej sposobu myślenia. Zafascynowała mnie przede wszystkim dumą i godnością Modrzejewskiej, niezachwiana wiara, że to co robi jest ważne. Duża

część życia tej aktorki, walka z cenzurą w kraju pod zaborami, walka o wprowadzenie na scenę Słowackiego, Mickiewicza. Walka ze wszystkimi dookoła. Aktorstwo to zawód okrutny, każe poświęcać wszystko — życie osobiste, rodzinę. W grucie rzeczy czyni człowieka samotnym i nieszczęśliwym.

— Co dla pani w życiu liczy się najbardziej?

— Bardzo trudno odpowiedzieć na to pytanie. Wiem, że nigdy nie poświęciłabym swojego życia osobistego, rodziny dla zawodu. Choć czasem nie mogę się zatrzymać, jeśli idzie o ilość pracy, którą przyjmuję na siebie. Myślę jednak, że jestem zwykłym człowiekiem. Tak jak wszyscy kieruję się podstawowymi zasadami dekalogu.

— Mówi pani często w wywiadach o swojej przeciętności, a przecież jest pani wybitną aktorką międzynarodowej sławy.

— To nic nie znaczy. Ja naprawdę bardzo lubię przebywać wśród zwykłych przeciętnych ludzi, lubię spotykać się ze swoimi sąsiadami mieszkającymi na wsi, obok których mam działkę. Najlepiej czuję się z mężem, moją mamą, z moim ojcem, z moimi dziećmi. To jest mój świat.

— Kończyła pani Liceum plastyczne, potem Wyższą Szkołę Teatralną i Filmową w Warszawie. Jaki one wywarły wpływ na pani życie?

— W liceum plastycznym kształtowałam przede wszystkim swoją opinię na temat tego, co mi się podoba, a co nie. Był to więc wpływ głównie w sferze estetyki. Świadomość tego, kim mam być, w jakim kraju żyję i jaki mam do tego stosunek, zjawił się dopiero później — w szkole teatralnej. A tak naprawdę to w czasie pracy nad „Człowiekiem z marmuru”.

— Jacek Bromski kręci obecnie swój najnowszy film „Kuchnia polska” z pani udziałem. Kogo pani będzie grała?

— Angielkę. To jest film o latach 50.

— A co panią pociągnęło w tej postaci?

— To, że uśmiecham się ironicznie w stosunku do kulturalnej, wykształconej i eleganckiej Europy, która do dziś nie rozumie, co tu się naprawdę dzieje.

— To będzie dramat?

— Tak. Ale kiedy zabiją mnie na końcu filmu, na twarzy mam tylko wyraz zdziwienia.

Rozmawiała:
Jolanta Wołoszańska